



NKD 51486

PROMIEN SZKOLNY

DWUTYGODNIK
WYDAWANY
PRZEZ UCZNIÓW
GIMNAZJUM
T. CZACKIEGO.

Nr 2.

25 października 1938 r.

Rok VIII.

ROZERWANY GRABIEŻĄ CZESKĄ ŚLĄSK CIESZYŃSKI



- granica wymuszona na Polsce w czasie wojny bolszewickiej.
----- GRANICE ŚLĄSKA ZAOLZAŃSKIEGO: od czasu czeskiego napadu zbrojnego — **POD ZABOREM CZESKIM**

* * *

... Czekaliśmy...

Co noc głębokie gwiazdziste niebo beznamiętnie patrzyło na nas.

Słoneczne dnie na próżno przemawiały do nas czarem gorących promieni, bogactwem barwnych jesiennych drzew, srebrnymi przędzami babiego lata. Warkot wciąż krążących samolotów, przyśpieszony ruch pojazdów w śródmieściu, «dodatki nadzwyczajne» wykrzykiwane przez dziesiątki głosów, wciąż jakieś nowiny, pogłoski, informacje udzielane wszystkim przez wszystkich — oto co zaprzętało naszą myśl.

... Czekaliśmy...

Tam w środku Europy znów zetknęły się i zapłonęły pewne sprawy, pewne interesy. Dawne krzywdy, niesprawiedliwości, nieprawe posunięcia zmusiły przypomnieć o sobie. Rozpaliły się ludzkie namiętności. Siła i ludzką wolą, honor i ucisk torowały sobie drogę ku ogólnej straszliwej pożodze. Wszystkich nas pochłaniała teraźniejszość, mająca posmak bliskiego, dramatycznego niewiadomego. Czuło się, że jedna chwila... i nasze dążenia, nasza praca najbliższa, nasze nadzieje, ambicje byłyby odrzucone, odsunięte na daleki, nierealny plan. Jedna chwila i stanęlibyśmy przed zadaniem najtragiczniejszym w swej prostocie.

Słowo Polska wypełniało nas i tętniło żywą gorącą krwią.

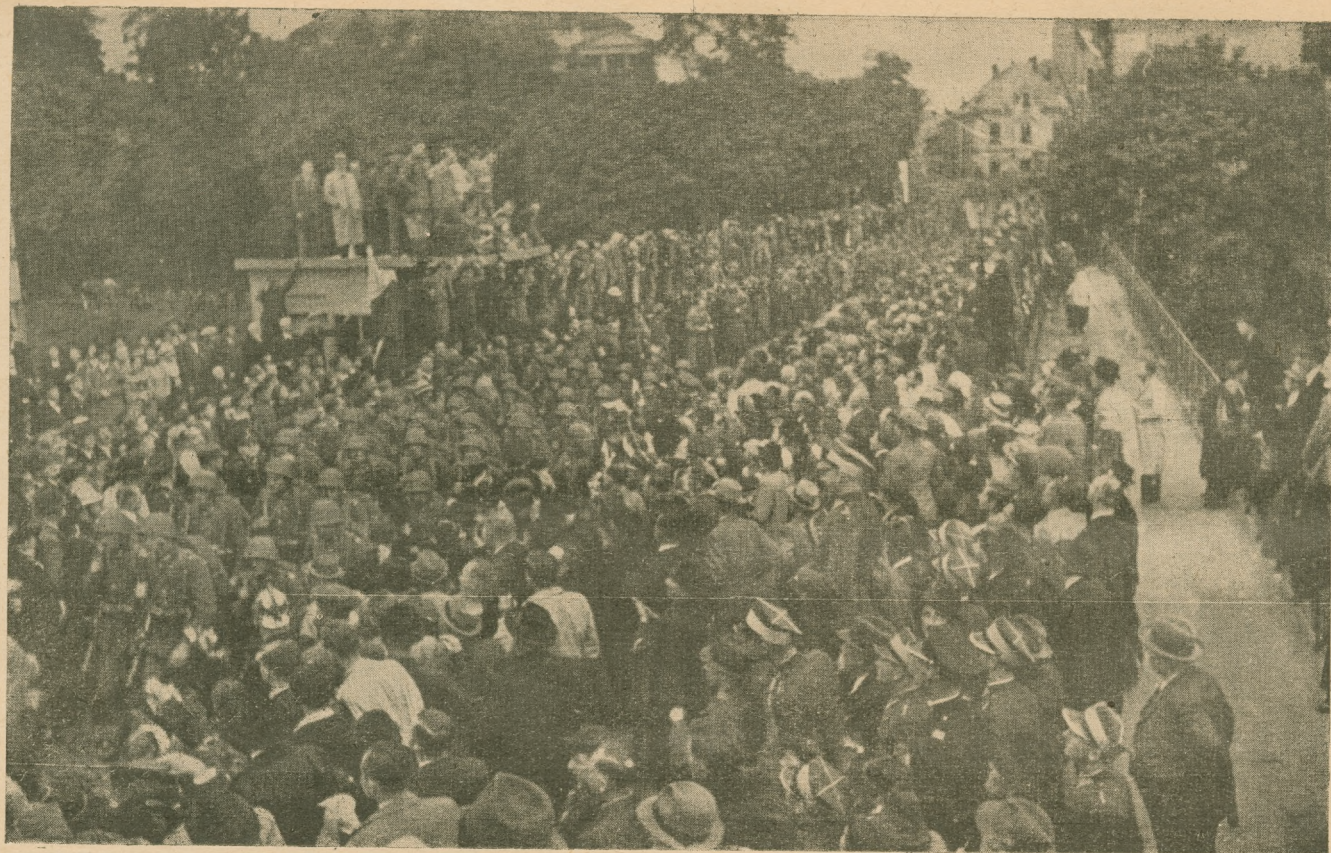
... Czekaliśmy...

Na ulicach, w tramwajach, w szkole i w domu, wszędzie patrzyły na siebie dziwnie ujednolajnione oczy ludzkie. Oczy pytające i zapalające się entuzjazmem, zamierające, uciekające gdzieś w głąb siebie, darzące ciepłym błyskiem nadziei i dziwną otuchą niezłomności.

Jakieś rzewne smętki, jak przy rozstaniu, wlokły się pomiędzy ludźmi, mieszając się z zapałem i honorem, instyktowną trwogą i przebłyskami rodzącego się bohaterstwa.

... Czekaliśmy...

W. S.



3

Historyczna chwila przekroczenia granicy czeskiej przez wojska polskie w dniu 2 października 1938 r.

Z Alfreda de Musset.

Przypomnij sobie.

Przypomnij sobie, gdy Jutrzenka z rana
Otworzy słońcu swój pałac bajkowy,
Przypomnij, sobie, gdy Noc zadumana
Mgławice upnie dookoła głowy.

Na zew rozkoszy, gdy Twe serce bije
Na pamięć ułud, które wieczór kryje
Echo po lesie
Odpowiedź niesie:
«Przypomnij sobie».

Przypomnij sobie, kiedy oddaleni
Będziemy cierpieć gorzki los rozłąki,
Gdy czas i smutek nasze serca zmieni
I gdy uwiędną dawnych uczuć pąki,
Śnij o miłości, nie ulegaj trwogom,
Bo żadne moce, mocy dusz nie zmogą
I w walk rozterce
Podszeptnie serce:
«Przypomnij sobie».

Przypomnij sobie, ach, przypomnij sobie,
Gdy w zimnej ziemi zaśnie serce chore,
Kiedy wyrośnie kwiat na smutnym grobie
I kwitnąc będzie subtelnym kolorem.
Choć Cię nie ujrzę, duch smutny bezmiernie
Będzie się tułał koło Ciebie wiernie
I w nocnej ciszy
Jęk mój usłyszysz:
«Przypomnij sobie».

Andrzej Trzebiński.

«Natura Bogu darowała wieczność, a śmiertelnikowi naznaczyła kres, lecz on — podejmując dobrowolne bohaterstwo, czyli śmierć — niweczy śmierć».

(Żeromski).

Reportaż z wycieczki do Komorowa.

(Od specjalnego wystannika «Promienia Szkolnego»).

Już od pierwszej chwili swej misji przekonałem się, że jestem prawdziwym reporterem, przyszedłem bowiem na chwilę przed odejściem kolejki, a mimo tłumy kolegów, stojących przed wejściem do wagonu, znalezienie się w jego wnętrzu było dla mnie dziełem sekundy. Usadowiłem się wygodnie przy oknie wyjąłem wieczne pióro, sięgam do kieszeni... o ironio losu! Zapomniałem papieru. Na czym ja będę teraz pisał? Nie straciłem jednak przytomności umysłu i błyskawicznie chowam pióro. Na szczęście żaden z kolegów tego nie zauważył, bo inaczej to bym się strasznie «wsypał». Sam sobie się nie dziwiłem, przecież najlepszy reporter może mieć pecha.

W czasie jazdy jedyną rozrywką było to, że koledzy bardzo «rozkosznie» roztramwajali wagon. Pan prof. strasznie się bał, że wagon się wywróci, a ja czułem, że miałbym wtedy o czym pisać.

Nareszcie zajeżdżamy na miejsce—do Komorowa. Znalazwszy się w lasku włożyłem kostium gimnastyczny i zabrałem się do pracy.

Oto mała polanka, a na niej kilku «młodzieńców» z gimn. Czackiego rzuca dyskiem. Postanawiam prosić «mistrzów» o mały wywiadzik. Zamiar ten nie udał mi się. O mało co nie dostałem dyskiem w głowę i zostałem grzecznie wyproszony. Ale reporter nie łatwo zraża się trudnościami. Nie udało mi się tu, to gdzieś indziej będzie lepiej. Po drodze spotkało mnie wielkie szczęście. Zobaczyłem kolegę z aparatem fotograficznym. Narazie nie chciał słyszeć o chodzeniu ze mną i robieniu zdjęć. Przyjechał tu, by spędzić kilka godzin na łonie natury, a nie latać po «jakieś tam» wywiady. Ale ja w «płomiennych» słowach przedstawiłem mu, jak wielkie znaczenie ma dla mnie jego pomoc. Wywody swoje poparłem argumentami «siły wyższej». W końcu uległ. W tej chwili byłem przekonany, że wymowa reportera i silna pięść, to 99% jego powodzenia.

Kończę właśnie śniadanie, gdy nagle słyszę jakieś krzyki. W jednej chwili jestem na nogach. Może kogoś mordują, a ja nic o tym nie wiem. Ruszam z miejsca ostrym galopem, wypadam z lasku... lekkie rozczarowanie. To kl. III^a silnie dopingowana gra w szczypiorniaka z II kl. licealną.

Jako reporter obowiązywała mnie bezstronność, ale w duchu popierałem liceum. A nawet raz, gdy byłem silnie zdenerwowany zawołałem: «Bić sędziego!». Mimo największych wysiłków z mojej strony (ciągle się pociełem) klasa III wygrała (5:4). Dodać też należy, że bramkarz kl. III-ej miał nadzwyczajne szczęście. Chciał, czy nie chciał, to piłkę zatrzymać musiał, bo

prawie każda szła prosto na pierś. (Ze «źródeł miarodajnych» otrzymałem sensacyjną wiadomość; podobno bramkarz ten miał uniwersalny magnes, który pomagał mu w łapaniu strzałów). Po skończonym meczu stał on się przedmiotem ogólnej owacji. (Oczywiście bramkarz, a nie magnes). Niezwłocznie pośpieszyłem do niego, ale zaczynał akurat partię szachów. Dałem więc spokój.

Po chwili rozpoczyna się drugi mecz szczypiorniaka — kl. I lic. gra z IV. Podziwiałem tu drugiego fenomenalnego bramkarza (kl. IV), który z niewiarygodną wprost łatwością puszczał gole. Już po kilku minutach wynik meczu brzmiał 4:0. Nic też dziwnego, że klasa IV zmuszona była swego «fenomena» usunąć z bramki.

Musiąłem też pójść do swoich kolegów. Natrafiłem na moment, gdy sama «śmietanka sportowa» naszej klasy grała w «nogę». «Jeżeli nie chcesz dostać (po karku) to wynos się stąd!». Nie ma co, ładne powitanie. Rad nie rad muszę opuścić boisko. Ze «sportowcami» nie warto zaczynać. (Dla wyjaśnienia dodam, że niedawno nazwałem ich «ligowcami», i dlatego na mnie się obrazili).

Po południu spotyka nas duża przykrość ze strony p. p. profesorów — musimy wracać do Warszawy.

W Tworkach mieliśmy wypchnąć kilku kolegów, ale «wariaci» (?) stawili czynny opór i musieliśmy dać za wygraną.

Toczyłem też ciekawy spór z kolegą D. Chodziło oto, kto ma większe zasługi względem «Promienia» — ja — czy on? Ja twierdziłem, że ja — bo piszę, a on, że on — bo sprzedaje «Promień». Ostatecznie spór rostrzygnie się w klasie, a «sądzić» będą najsilniejsi koledzy.

Wracając do domu, wraz z kolegą D. (właścicielem aparatu fotograficznego) spotykamy Tadzia z Żoliborza, który wyszedł z ulicy Senatorskiej. Wiadomo, że mieszka tam kolega K. i, że ten kolega ma siostrę. Kolega z aparatem doskoczył do mnie i wykręcił mi rękę. Pod groźbą jej złamania musiałem mu przyrzec, że napiszę o tym (nie o wykręceniu ręki ale o Tadzio) do «Promienia». W przeciwnym razie kazał mi przynieść woreczek na kości, gdyż będę je miał wszystkie połamane. Niestety — w domu nie znalazłem odpowiedniego woreczka. Trudno «siła przed prawem», a skompromitowany Tadzio niech wie, że zostałem steroryzowany i niech na przyszłość unika, jak ognia ul. Senatorskiej.

R. Rżysko kl. II-b.

Inteligencja charakteryzuje się przez naturalne niepojmowanie życia.

(Bergson).

Kołowrotek.

Czytelnicy moi mili,
O uwagi chwilę proszę,
Byście szczerze się bawili,
Wiersz o szkole wam przynoszę.

Pamiętacie dzieje owe,
Gdyśmy w szkolne weszli bramy?
Pan profesor miał przemowę:
«Bardzo czule was witamy».

A na drugi dzień wrześniowy
Poszła praca w całym pędzie:
Dziś plan lekcji jest gotowy,
Jutro tuzin dwójek będzie.

Potem przyszedł jakiś pierwszy
Wtedy (niech mi Bóg przebaczy)
Lecz mniej w «Kołowrotku» wierszy
Będzie niż w klasie zbieraczy.

Biblioteka i śniadanie,
L. M. K. i Zjednoczenie,
Szkół powszechnych popieranie,
LOPP — poluje na kieszenie.

Od pierwszego do pierwszego
Wciąż wiemy żywot twardy,
Wciąż uczymy się wszystkiego,
Pracujemy jak bernardyn.

Odpocniemy wkrótce nieco,
Bo półrocze szybko zleci,
Gdy na wilię gwiazdy świecą,
Na cenzurze dwója świeci.

Po półroczu dni zimowe
Powtarzają się jak karty
(Są o tym dane źródłowe
W zwrotach: drugiej, trzeciej, czwartej).

Szybko minie zima, wiosna,
(Bo czas to najszybszy goniec)
Aż nadejdzie wieść radosna,
Że wakacje, że już koniec!

Ja tymczasem na papierze
Zanotuję sobie z boku:
Wakacji żałuję szczerze,
Że są tylko raz do roku!

Pewnie wiecie czytelnicy,
Przeczytawszy tyle zwrotek,
Co to znaczy tajemniczy
Tytuł wiersza: Kołowrotek.

Bo to takie wasze życie,
Że wy razem z swoją szkołą
Ciągłe kręcić się musicie,
Jak u kołowrotka koło.

Okej.

DZIAŁ LITERACKI.

O książce „Maria Curie” Ewy Curie.

Od miesiący nęciła mnie ta książka, lecz wciąż coś stało na przeszkodzie i oddalało moment bezpośredniego zetknięcia się. Oczekiwałem na ten moment. I oto w sierpniu dostałem książkę w swe wyłączone posiadanie. Zacząłem czytać. To nie było zwykłym czytaniem ciekawej, czy nawet frapującej książki — w tym czytaniu było coś osobliwego. Było to zupełnym oderwaniem się od otoczenia, — całkowitym oddaniem się książce.

Dziwnie pociągającą prostotą owiana jest zewnętrzna forma — sposób, w jaki Ewa Curie pisze o swej Matce. Nie ma zbytecznych słów, nie ma niebezpiecznego patosu, gdy mówi o rzeczach wielkich. Książka jest pełna umiaru, powściągliwości, powiedziałbym przedziwnej ascetycznej subtelności. Ręce tkliwe i mądre dotknęły wielkości, dla których ta wielkość jest jednocześnie świętością.

A teraz treść. Odślonięte przed nami jedno życie, lecz życie tak niezwykle, że myśląc o nim i wczuwając się w nie, dostajemy jakiegoś zawrotu głowy.

I nawet... (może to jest śmiałością z mej strony)... i nawet myślę, że nie to jest najważniejszym, że udziałem Marii Curie był ten «łut szczęścia», który właśnie jej i ludzkości przyniósł tak wspaniałe rezultaty — odkrycie radu. Najbardziej zachwyciło i olśniło mnie samo życie Marii i Piotra Curie, które tocząc się niby

zwykłym łożyskiem życia naukowców — znajdowało się tak daleko od rzeczywistości, prawie wyłącznie w surowej dziedzinie myśli. Zaczynając od prac najcięższych «prac wyrobnika», które wykonywała Maria, kończąc na najzawilszych finezyjnych obliczeniach i konkluzjach, w które zagłębiała się jej myśl — ten cały splot jej pracy, trwającej lata, był jedną wzniosłą ekstazą.

«Nad czym żeś się tak zamyślił»? — pyta stary doktor Curie przyniesionego zmarłego syna z rozmiądzoną głową.

«Nad czym żeś się tak zamyślił»?... Ci ludzie, Piotr i Maria Curie, żyli, nie widząc rzeczywistości, z rozbijającą prostotą i rozrzutnością oddając ludziom owoce swej pracy, które dla nich osobiście miały tylko tę wartość, że stanowiły cenne ogniwo w nieprzerwanym łańcuchu pracy myśli.

Władysław Stankiewicz.

„Człowiek — istota nieznana”.

Dr Aleksis Carrel.

(Przekład R. Świętochowskiego).

Carrel jest jak sam mówi «pracownikiem naukowym». Większą część życia spędził w pracowniach «na badaniu istot żywych».

Człowiek ten patrzył, przyglądał się, badał i z obserwacji wyciągał wnioski, które częściowo podał w swym dziele.

«Książka ta zwraca się do wszystkich, których zadaniem codziennym jest wychowanie dzieci, kształcenie lub prowadzenie jednostki. Do nauczycieli, do higienistów, do lekarzy, kapłanów, profesorów, adwokatów, do urzędników, oficerów, do inżynierów, kierowników przemysłu» itp., a więc i do nas, którzy w niedalekiej przyszłości te funkcje obejmujemy. Daje nam wszystko to, «co nam obserwacja i doświadczenie mówią o nas samych».

«Człowiek istota nieznana» to bunt przeciwko obecnej cywilizacji, to bunt przeciwko obecnym formom życia. Carrel marzy o wyzwoleniu człowieka spod panowania maszyny, marzy o przebudowaniu społeczności, o daniu jednostce warunków prawdziwego życia, nie zaś «wegetacji przy biurku, czy w fabryce».

Tylko gruntowna zmiana sposobu życia może dać ludzkości prawdziwe zdrowie moralne i fizyczne, uchronić ją przed ostateczną degeneracją i upadkiem. «Powinniśmy poświęcić cywilizację nowoczesną, a nie człowieka».

Kierunek nauki współczesnej jest według Carrela zgubny.

W jego umyśle powstaje koncepcja wielkiej, obszernej nauki, która obejmowałaby wszystkie dziedziny życia zarówno człowieka-jednostki (strona fizjologiczna i duchowa), jak społeczności. Przedstawiciele tej właśnie nauki, znający doskonale człowieka, mają zdecydować o losach ludzkości, mają skierować jej rozwój na tory najodpowiedniejsze, uprzednio gruntownie obmyślane.

Czy zgadzamy się z Carrelem, czy nie, przyznać musimy, że jego myśli posiadają dużą siłę, siłę logicznego rozumowania, opartego na znajomości duchowej i fizjologicznej istoty człowieka.

Poznanie tej książki jest o tyle pożyteczne, o ile zmusi nas ona do zastanowienia się nad obecnym stanem ludzkości i o ile potrafimy znaleźć w życiu przykłady za lub przeciw poglądom Carrela.

Wiele rzeczy niezmiernie ciekawych można się z tego dzieła dowiedzieć, takich nawet, które są dla nas wprost rewelacją.

T. Płuzański.

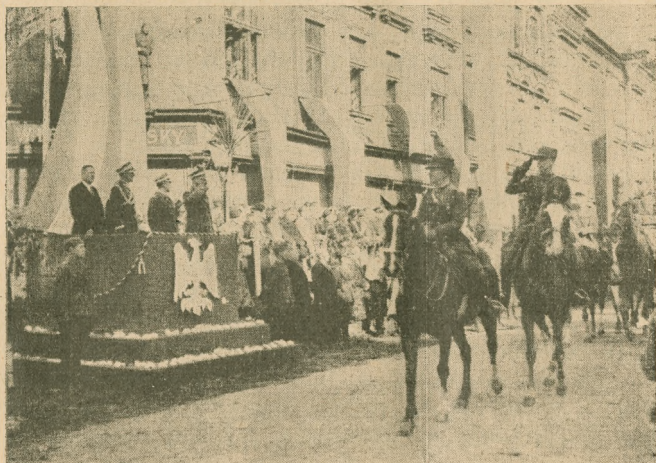
Lektura dla młodzieży.

Polska jest jednym z niewielu państw, gdzie powieści dla młodzieży stoją na bardzo niskim poziomie. Mamy wielu bardzo poważnych pisarzy, ale ludzi, którzy by się podjęli pisać dla młodzieży, (a jej najwięcej potrzeba książek!) jest nie wiele.

Wprawdzie taka pani Buyno-Arctowa spłodziła całą serię powieści z życia «dziewczynek na pensji» czy «bohaterskich chłopców», ale trudno mówić, by książki te miały jakąś wartość artystyczną. O wartości moralnej, czy dydaktycznej nie może być nawet mowy. Wytwarzają one niezdrowy sentymentalizm, banalny i bezsensowny.

W książkach historycznych Walerego Przyborowskiego jest bardzo mało historii, a zato zbyt wiele «bohaterskich scen», gdzie głównymi bohaterami są młodzi chłopcy, zabijający wrogów na tuziny. Serie książek indyjskich May'a, Mayne-Reida są tak beznadziejnie głupie, że nawet młodzież, po przeczytaniu jednej czy dwóch, rzuca je w kąt.

Najgorzej sprawa przedstawia się z pismami. «Panorama», «Świat Przygód», «Co tydzień powieść» są niestety bardzo popularne wśród młodzieży. Mówię niestety dlatego, iż same nawet tytuły powieści drukowane w tych pismach mówią o poziomie



Marszałek Rydz - Śmigły odbiera pierwszą defiladę wojsk polskich w czeskim Cieszynie.



Marszałek Rydz - Śmigły na trybunie w Katowicach.

tych pism («Tajemnica grobowca», «Świat podziemnych dusicieli» itp. Ciągłe bójkę, morderstwa, tajemnicze wyprawy, napady, przedstawiane w tego rodzaju powieściach pociągają młodzież.

Innego rodzaju pisma, czy powieści wobec tych zdają się nudne. A przecież «Płomyk» (niestety jedyne pismo na poziomie) daje wiele bardzo ciekawych rzeczy i, co najważniejsze, rzeczy przystosowanych do wieku czytelników. Pisarze, dający nam książki na wysokim poziomie (Żurakowska, Korczak, Porazińska), są mało popularni, zresztą nie napisali oni dużo. Żurakowska wydała (nakład Mortkowicza) w sumie 7 książek. Korczak stworzył pierwszorzędne powieści «Maciuś» i «Bankructwo małego Jacka» i kilka mniejszych opowiadań.

Z uznaniem trzeba przyjąć pojawienie się książek Fiedlera w wydaniu dla młodzieży, jak również skróty Grey Owl'a. Są to opisy przyrody tak ciekawe, że niewątpliwie zainteresują młodzież. Jeżeli jest mowa o tłumaczeniach, to wydanie kilku rzeczy Karin Michaelis w języku polskim dla młodzieży jest poważnym dorobkiem w literaturze polskiej. Ale to wszystko mało.

J. Lewandowski.

DZIAŁ RECENZJI TEATRALNYCH.

Jan Brumer.

Teatr Narodowy: „Szkola obmowy” Sheridana.

Najbardziej ciekawą cechą tego dramatu jest jego śmiałość. Śmiałością jest bowiem wystąpienie przeciw obmowie w czasie, gdy obejmowała ona coraz to szersze kręgi wśród wielce wpływowej arystokracji.

Autor pokazuje nam ludzi, którzy intrygują, gdzie się tylko da, bądź to dla własnej korzyści, bądź też dla własnej... przyjemności. Ale dalej jeszcze sięgają obserwacje Sheridan. Przedstawia on także arystokratkę, gorszącą się strasznie obmową, co nie przeszkadza jej plotkować na wszystkie strony.

Drugą niemniej ważną cechą dodatnią dramatu jest bezwzględne potępienie obłudy. Przedstawicielem jej jest Józef Surface. Pisząc o nim trzeba wspomnieć o pewnej analogii zachodzącej między nim a panem Tartufe, molierowskim «Świętoszkiem». Józef jest tu przedstawiony jako zręczny intrygujący szalbierz, zwałający winy na swego brata.

Cechą ujemną tego dramatu stanowią okropne długiżny, (zwłaszcza w 1 akcie) starannie maskowane przez artystów, niemniej jednak nieznośne.

Na czoło zespołu aktorskiego wybili się: Zelwerowicz, Sulima, Śliwiński, Łapiński. Bardzo niepewnie w swej roli czuł się Łuszczewski. Słaby był Różycki.

Reżyseria Zelwerowicza b. dobra. Dekoracje Daszewskiego doskonałe.

Teatr Letni: „Jean” W. Bus—Fekete’go.

Jest to komedia polityczna, oparta w znacznej części na trafnych i dowcipnych powiedzeniach.

Sam pomysł jest nowy i oryginalny. Rzecz dzieje się na Węgrzech. Jean kamerdyner prezesa rady ministrów zostaje wybrany posłem partii opozycyjnej. Wypadek ten przyczynił się do wykazania inteligencji kamerdynera, który wkrótce obala rząd swego chlebobawcy. Komplikacje wynikają z tego powodu, że Jean, będący innych poglądów politycznych, niż jego pan, nie przestaje go kochać i szanować. I to wyzyskuje autor do pokazania nam dowcipnych sytuacji w domu b. premiera. W międzyczasie nowa intryga. Oto córka premiera kocha się w b. kamerdynierze, a obecnym pośle. Akcja ta jest stosunkowo słabo rozwijana: zakończona szablonowym happy end’em.

Całość, przez ciekawe zagadnienie społeczne i dzięki doskonałej grze artystów, wypadło bardzo dobrze.

Wspaniałe kreacje stworzyli: Stępowski, zachwycający swą żywością i swobodą, Wysocka, pokazująca młodemu pokoleniu aktorskiemu, jak wygląda wspaniała dykcja. Bardzo inteligentnie zagrał trudną rolę tytułową Żabczyński, Zaklicka w roli córki premiera czarowała temperamentem i doskonałym prowadzeniem dialogu, Hnydziński, w roli hrabiego Jerzego, był bardzo dobry i wystrzegał się szarżowania. Twórcą miłej oprawy scenicznej był Jarecki. Reżyseria Trzcińskiego staranna.

«Wszystko co poczyniałem, stroiłem w nową szatę Piękna. Kłamstwo, zarówno jak Prawdę podporządkowałem prawom istoty rzeczy i dowiodłem, że prawda i kłamstwo — są jedynie intelektualnymi formami bytu».

(Oskar Wilde).

O pewnej lekcji, zdarzeniach i ludziach.

Historia w trzech częściach z dodatkiem i wypisami.

Część I.

Artykuł ten nie będzie pamfletem, nie wolno też ustosunkowywać się do niego, jak do paszkwilu. Jest on raczej oceną pewnych motywów i absurdalnych faktów.

Nieważnym jest bowiem, czy bohater (mierny, ale bohater) tego artykułu kol. Pięknepole, to ten sam, co Z. S — d, czy kol. Finger rzeczywiście jest to W. P — ch, a Fiszera tylko z tego powodu Rybą nazwałem, aby go nie można było odróżnić od rodziny Rybińskich, zresztą u nas w szkole już dość licznej. Ważnym i całkowicie wystarczającym jest fakt, że poezja, a tym samym kultura, której uduchowionym postąncem w mrocznych murach naszej klasy jest wspomniany bohater, nie zaginie. Nawet terror stosowany przez niektórych profesorów i wszelkie groźby, że kol. Połaniec zostanie zapisany do dziennika i inne nieprzyjemne metody zazdrosnych o Muzę, którą Pięknepole, już posiadał — na zanik twórczości nie wpłyną. Choćby motywem zapisu (a tak było w tym wypadku), miała być pewna niezorganizowana i nieświadomiona zbyt wielka częstotliwość w używaniu języka.

Wszystkim, a więc i mnie również, było wiadomym, że kol. Pięknepole zdradzał talent (złotliwi twierdzą, że to talent właśnie jego zdradzał) we wszystkich możliwych kierunkach. Był więc tenorem, pływakiem, graczem w szczypiorniaka, filozofem, bokserem, jak również doskonałym polonistą i matematykiem. Ale że jest malarzem i 5 p (pisarzem piszącym prozą prócz poezji) tego nikt się nie domyślił, nawet osoby w tych dziedzinach najzupełniej kompetentne.

Mnie zainteresowała Muza literacka, gdyż jestem jedynym współpracownikiem «Promienia Szkolnego», który nie pisze artykułów.

Ale zacznijmy od początku.

Część II.

Była to lekcja języka, na której ja i mój kolega, który naszą szkołę miał w Wilnie reprezentować, i wielu innych, bardzo nieszczęśliwych kolegów — otrzymujemy stale notę niezbyt dostateczną.

Jedna z tych lekcji, której równie charakterystyczne, a nie-samowicie groźne słowo «Prüfung» nie poprzedza, a dziwnie rzadkie i wciąż w marzeniach, wyśmiewane wyrażenie, «sprawdzanie zeszytów» decyduje o dalszym ciągu lekcji.

Kolega Pięknepole miał tę nade mną fizyczną i intelektualną przewagę, że słyszał kiedyś kogoś po niemiecku mówiącego i miał 5 z tego przedmiotu, a ja wciąż..., ale to nie należy do tematu.

Siedziałem przypadkowo na jego miejscu, podczas gdy on na ławce jakiegoś «francuza». Sprawdzając zeszyt kol. Fin-gera. W pewnym momencie kol. Pięknepole uczuł niczym niepohamowaną żądzę wyjścia w wiadomym kierunku. Cel był przeraźliwie jasny. Kolega złożył więc swe zeszyty i jakieś kartki na pulpicie koło mnie, kilka z nich uprzednio oczywiście zabierając. Pan profesor, zezwolił mu wyjść, gdyż, jak stwierdził, «nie lubi się mieszać w tak wyraźnie wewnętrzne sprawy obcego mocarstwa».

Po chwili kartki ześlizgnęły się z pochyłości pulpitu i kolega Ryba je podniósł, a ja chciałem je odłożyć na miejsce, gdy nagle mą uwagę przykuł wyraz pięknie oprawiony w cudzysłów: «Gioconda».

Część III i ostatnia.

Do słów obcych zawsze odnosiłem się z szacunkiem. Datował się on od czasu, gdy zlekceważyłem słowo «abstrakcja», mieszając je z popularnym wyjaśnieniem medycznym, o całkowicie różnych konsekwencjach. Bo dla mnie abstrakcją jest na przykład trójka z chemii, podczas gdy «tamte» konsekwencje...

Lecz wyraz «Gioconda», szczególnie z połączeniem «moja» i «młodość», wywarł na mnie wprost fascynujące wrażenie.

Czytam więc:

«Pracownia. W kącie na sztalugach rozpięty jest obraz. Zastłony jest płótnem. Nikt go nie widział, nawet ja jego twórca. Za chwilę odsłonię go. To będzie odsłonięcie największego mojego dzieła. Ten obraz to moja «Gioconda» młodości. Wiem jednak, że jest niedoskonały. Jest niedoskonały nie dlatego, że są w nim błędy lub niedociągnięcia, lecz że nie osiąga ideału o Tobie»...

Wpierw myślałem, że to Michał Anioł. Dlatego, że po włosku, po drugie, że niby nie ma błędów i niedociągnięć, po trzecie, że taka proza poetycka, a jak wiadomo Michał Anioł i poetą też trochę był.

Czytam dalej:

«...Dlatego też zniszczę to moje dzieło. Zniszczę też wszelkie pomocnicze szkice i studia, a pozostanie on w ca-

tej wspaniałości w mojej duszy. I tu ideał mój wciąż będę nosił...»

Zmienilem odrazu zdanie. Michał przecież tak mało zostawił niedokończonych dzieł, że nie miał potrzeby skończone i tak już nieliczne niszczyć. Zresztą — w ogóle wszystko zrozumiałem. Bo gdy dalej o Rytze i o wakacjach była mowa to jasnym dla mnie się stało, że owym malarzem i poetą jest... jest..., no pomyślcie trochę, któż nim może być? Właśnie kol. Pięknepole. On malarz, «Ona» pozowała mu do portretu. Teraz pisze do Niej list. Ale dlaczego na niemieckim i po polsku, to pozostało dla mnie zagadką!

W każdym razie wszystko w tym liście. I jej obraz (ten w duszy) i jego uczucie i to, że go zniszczy. Ale «Giocondą» została, przynajmniej dla mnie najpiękniejsza. Teraz każda spotkana przeze mnie panienka z warkoczami jest Gioconda, a co trzecia «Giocondą mojej młodości». Chyba jednak odzwyczaja się.

Dodatek.

Zainteresowano się jego talentem pisarskim i Redakcja zagwarantowała mu papier do pisania artykułów, a ja sam osobiście zamówiłem sobie... portret. Ale z fotografii. Bo on jest nerwowym i strasznie na pozującego chłapie farbą. Ostatecznie, skoro się nie uda, to znając tendencje Mistrza, sądzę, że również i to «niedoskonałe dzieło» zniszczy. A jeżeli będzie się upierał, to mu pozwolę «nosić w duszy», bo i tak nikt tego portretu tam nie zobaczy.

Wypisy.

Historia ta jest, niestety, prawdziwa. Żadna propaganda «Salonu Malarzy Polskich», którzy obawiając się konkurencji prawdziwego artysty, jakim jest bezwątpienia kol. Pięknepole, będą zaprzeczać lub pomniejszać jego zdolności — nie może dotrzeć do uszu Mistrza. Odsuwamy od niego wszelkie krytyki, gdyż mogłyby one odbić się fatalnie na moim portrecie. Chociaż niektórzy twierdzą, że i tak będę dobrze wyglądał. Daj Boże!

* * *

Bliższych informacji udzielają kol. Fiszer i Małko w II-lic., którzy siedzą w malowniczo położonym I rzędzie. Katedra jest dość daleko, więc wchodzić można bez obawy. Tylko proszę pukać. Na wszelki wypadek, gdyż jak powiedział poeta: Nigdy nic nie wiadomo.

... on. ... er.

Szlakiem prababek.

Co by pomyślały nasze prababcie, gdyby ujrzały nas, ludzi XX wieku w wehikule z ich czasów, w dyliżansie, w którym by może, o Nieba, poznały dyliżans kursujący wiek temu z Warszawy do Zakroczymia. To pytanie zadaje sobie zapewne każdy, wsiadając do dyliżansu mającego zawieźć go do odrestaurowanych niedawno murów dawnej Warszawy.

Jak wiele się zmieniło w ciągu ostatnich 100 lat. Dyliżans i kolej parowa dawniej a teraz metro, samolot, auto. Podróż do Paryża dla naszych prababek była przedsięwzięciem trudnym i uciążliwym, bo trwającym kilka miesięcy a teraz... teraz wystarczy wsiąść do samolotu i w ciągu 7,5 godziny dostaniemy się tam bez trudu. Postęp jest olbrzymi: bo kiedy dla nas komunikacja statosferyczna nie jest pierwszą nowością, to naszym prababciom nie śniło się nawet o «drodze żelaznej», a babciom o samolocie. Dla naszych prababek jedynym środkiem komunikacji był dyliżans.

Tra-ta-ta-ta-ta! Pocztylion na trąbce wygrywa sygnał odjazdu. Z drogi! Z drogi! Na ten sygnał cztery śmigłe koniki (dla dodania animuszu uderzone batem) ruszają z kopyta, ponosząc za sobą dyliżans wypełniony roześmianymi turystami. On, sto lat temu rozbrzmiewał wesołym śmiechem i frywolnymi dowcipami pań w krynolinach i panów w perukach, wozi również rozbawionych, ale... turystów. Nasz pojazd na gładkim bruku stolicy toczy się równo i zgrabnie, ale robi się źle, gdy się pomyśli o tym, jak on w dżdżyste dni jesienne przebywał rozmokłe drogi, będące jednym bagniskiem. Od czasu do czasu pocztylion zadmie w trąbkę a brekowy odpowie mu ostrym kłaśnięciem swego bicia. Ulicą Święto-Jańską wjeżdżamy w obręb starego miasta. Katedra, Rynek i Szeroki Dunaj. Wsiadamy. Pocztylion i brekowy, ubrani w stylowe liberie sprzed wieku, podskakują ku drzwiczkom i z gracją je otwierają. Ze środka wychodzą panie zajmujące tę część dyliżansu ze względów natury ściśle osobistej. Uważały one, że w tym miejscu kości ich nie będą narażone na nieprzewidziane w programie ewentualności.

Mury dawnej Warszawy tchną na nas swoją przeszłością. Z nabożeństwem zwiedzamy miejsca, gdzie obficie lała się krew warszawiaków. Dla nas jest to monumentalny pomnik naszych praocjów, którzy bronili Warszawy, swoje rodzinne miasto i tu niejednokrotnie dla niego ginęli.

Perłą odnowionych murów dawnej Warszawy jest system fortyfikacji bramy Nowomiejskiej. Na system ten składają się: głęboka fosa, barbakan, most ceglany gotycki z małżownicami Saraceńskimi, most zwodzony, będący częścią mostu ceglanego

oraz dwie baszty flankujące most w razie zdobycia go przez nieprzyjaciół.

Ze smutkiem wychodzimy z obrębu starych murów obronnych. Chciałoby się oglądać więcej i więcej. Ale oto dyliżans, do którego wsiadamy. Jedziemy ulicą Podwale, Długą, Bielańską i koniec naszej podróży zwiastuje na placu Teatralnym witający nas napis: Stacja Pocztałheryi.

A. B. kl. II-b.

Dzieje dwóch lekcji — czyli dlaczego mamy wakacje.

Już na pierwszej lekcji t.j. na niemieckim zrozumieliśmy, że wakacje zrobiły swoje. Zupełnie wyszliśmy z wszelkiej wprawy. Żaden nawet udać nie umiał, że umie zadaną lekcję. Niejeden z nas, choć liczył się jako «uczeń II-ej klasy» zachowywał się jak «dziki» pierwszaczek, przebiegał nerwowo oczami tekst zadanej lekcji, a gdy nadszedł kawałek, którego on prawie nie umiał, to zamiast zrobić minę pewną siebie, że właśnie ten kawałek najlepiej umie, to jeszcze bardziej pochylił się nad książką i jeszcze szybciej ją powtarzać zadaną lekcję, a co chwila rzucał rozpaczliwe spojrzenia w stronę katedry.

Profesor oczywiście zauważył to, ale jak przystało na doświadczonego pedagoga, który z niejednego pieca chleb jadł, czyli w niejednej szkole stawiał dwójki, patrzył pilnie w innym kierunku, ale spod oka obserwował swoją przyszłą ofiarę. Ten, nieświadomy podstępu odetchnął nieco, gdy wtem... nie, to chyba pomyłka... niestety — to smutna rzeczywistość — usłyszał swoje nazwisko. Biedny uczeń czuje, że ma rejentalnie zapewnioną dwójkę.

Inni wpadli również.

Po dotkliwej porażce otrzymanej na niemieckim postanowiliśmy być ostrożniejsi. Doskonale wiedzieliśmy, że jeżeli nie umieliśmy robić nawet miny pewnej siebie, to gdy przyjdzie do «poważniejszej roboty» zostaniemy formalnie rozniesieni (na dwójkach).

Ale najcelniejszy cios dostaliśmy na łacinie. Po prostu pan profesor dał nam klasówkę. Na to, już naprawdę nikt się nie przygotował. I tu dopiero «wyszło szydło z worka». Gdy jeden upuścił ściągaczkę na podłogę, drugiemu wysunęła się książka, i jeszcze został złapany jak «żywcem» przepisywał od kolegi — jednym słowem, brak «formy» kłuł nas dotkliwie w oczy (jak «niesprawiedliwie» otrzymana dwójka) — zrozumieliśmy, dlaczego są wakacje. Ot po prostu byśmy zapomnieli jak się robi «uniwersalne ściagi», by wyszedł z głowy «nieza-

wodny» sposób na profesora, gdy z lekcją jest coś nie bardzo i byśmy oduczili się wielu, wielu innych, tak potrzebnych w zawodzie uczniowskim rzeczy.

Tak, niestety. Władze szkolne wiedzą po co dawać wakacje.

Ale wątpię, czy «władze» te wiedzą dokładnie, jak pożądane dla nich skutki wywierają na uczniu wakacje.

Bo gdyby tak było, to z pewnością mogę twierdzić, że mielibyśmy oprócz dwumiesięcznych wakacji letnich, ze dwa miesiące wakacji zimowych.

R. R. Kl. II-b.

Szczypiorniak na wycieczce w Komorowie.

5 października 1938 r.

I lic. — II lic. 4 : 5 (3 : 1).

Gola! Gola!

Ryczały tłumy, ale gola nie było. Zresztą i tłumów nie było, więc wszystko się zgadza. Starszym pierwszeństwo — głosi stara, czy nowa maksyma; więc czekaliśmy dla kurtuazji, aż wreszcie strzelą nam gola, aby móc zacząć grać. I stało się. Tak! Oni strzelili nam jedną, a my im jedną, drugą, trzecią itd., byłoby i więcej, gdyby nie przerwa. Ledwie się ta skończyła, a już wsadzono biednemu Londzi czwartą gałę. Tu nasz kapitan, popularny Misio, mówi: «No chłopcy, dość tego, widzą wszyscy, jak należy grać, ale nie mogę dopuścić do tego, aby starsza klasa straciła u wszystkich szacunek». Dość, to dość! Przystaliśmy grać i pozwoliliśmy Im wygrać 5 : 4. Ale cośmy im pokazali, to pokazali!

Z graczy na uwagę zasługuje przytomnie i ładnie broniący Borowski. Na poziomie zegrali Makowski, Mistewicz, Rybiński, Emich, Sobkowicz i Wojsa; reszta nie odegrała większej roli.

I lic. — IV 9 : 1.

Co do drugiego meczu I lic. — IV, to nie ma nic ciekawego. Wynik 9 : 1 sam za siebie mówi, że był to raczej trening do jednej bramki niż gra.

Jur.

III — II Lic. 5 : 4 (3 : 2).

Warto pisać tylko o drugiej połowie. Pierwsza część wypadła dość blado. III klasa przeważała płynnością akcji i tempem. My rozgrywaliśmy się powoli. Ufni w swe siły zaczęliśmy szturmować od drugiej połowy. Teraz obraz gry zmienia się całkowicie. Sobkowicz, Wojsa, Płużański bombardują co chwila bramkę III klasy. Cóż, kiedy wszystko wprost w ręce bramkarza!

Ostatnie minuty zdają się przynieść wyrównanie. Tempo co chwila silniejsze. Cała drużyna liceum nie schodzi z połowy przeciwnika. Sobkowicz rozwala piłkę na głowie obrońcy.

Gra jest ostra, czasami brutalna, jeszcze chwila, a padnie bramka dla nas.

Niestety, nie padła. Przegraliśmy.

Trudno. Przegrać też sztuka, nawet większa niż wygrać.

III — IV 7:2 (2:1).

Mecz wykazał bezwzględną przewagę III kl. Ataki, pomyślane inteligentnie szły płynnie i szybko. Krycie nie pozostawiało nic do życzenia. Przy większym szczęściu można było osiągnąć dwucyfrowy wynik.

IV klasa wyraźnie zawiodła.

Prawy łącznik II Lic.

Stałość poglądów.

Jeden z tygodników paryskich przypomina następującą niepoprawioną głębszego znaczenia anegdotę:

Po opuszczeniu przez Napoleona wyspy Elby, paryski dziennik «Moniteur» tak sygnalizował (podajemy tylko kolejne nagłówki) zbliżanie się cesarza do Paryża:

«Ludożerca wyszedł ze swej jaskini...

Bandyta Korsykański wylądował w zatoce Juan...

Tygrys przybył do Gab...

Potwór spadł w Grenoble...

Tyran przejechał przez Lyon...

Uzurpator był widziany w odległości 60 mil od stolicy...

Bonaparte zbliża się wielkimi krokami, lecz do Paryża nie wejdzie nigdy...

Napoleon minie jutro roгатki Paryża...

Cesarz przybył do Fontainebleau...

Jego Cesarska Mość wjechał triumfalnie do Tuilleries, witany z entuzjazmem przez wiernych poddanych»...

I jeszcze zarzuca się dziennikarzom współczesnym, że zbyt często zmieniają poglądy.

Wydawcy: Uczniowie Gimnazjum Im. T. Czackiego.

Redakcja: Władysław Stankiewicz kl. II liceum i Jan Brumer kl. IV.

Komitet redakcyjny: J. Krzymuski kl. II liceum, J. Lewandowski kl. II liceum
A. Trzebiński kl. I liceum, A. Tyrawski kl. IV.

Administracja: Sz. Kaper kl. II liceum, B. Chodorowski kl. III.

Rękopisów nadesłanych do Redakcji nie zwraca się.

Adres Redakcji i Administracji pisma: Warszawa, Kapucyńska 21.

Druk. Dz. Pr. W. Warszawa, Rakowiecka 37

